



W I L B U R
SMITH

Czarownik

CYKL EGIPSKI

Szereg bojowych rydwanów niczym pełnący wąż sunął żywo krętym dnem doliny. Uczępiony burty wiodącego wozu chłopiec uniósł wzrok ku górującym nad nimi zboczom. Lita skała na podobieństwo plastra miodu usiana była wylotami starożytnych grobowców. Ciemne otwory wpatrywały się weń z góry jak nieubłagane oczy zastępu dżinów. Księżę Nefer Memnon zadrżał i odwrócił wzrok, lewą ręką czyniąc ukradkiem znak odpędzający zły urok.

Spojrzał za siebie wzdłuż kolumny i spostrzegł Taitę, który przyglądał mu się z następnego rydwanu poprzez kłęby pyłu jasną powłoką okrywające starca i jego pojazd. Pojedynczy promień słońca, przeniknąwszy w głąb doliny, zamigotał na drobinach miki. Zdawało się, że Taita jaśniej niż wcielenie któregoś z bogów. Nefer z poczuciem winy pochylił głowę, zawstydzony, że starzec był świadkiem jego przesadnego lęku. Księżę z królewskiego rodu Tamose nie powinien okazywać takiej słabości, zwłaszcza teraz, stojąc u progu dorosłości. Taita znał go jednak jak nikt na świecie, jako że był mu opiekunem od dzieciństwa, bliższym nawet niż rodzice czy krewni. Wyraz twarzy Taity jak zwykle pozostawał nieporuszony, ale nawet z tej odległości starce oczy wwiercały się w sam rdzeń duszy chłopca. Oczy wszyszkowidzące, wszystko rozumiejące.

Nefer odwrócił się i wyprostował u boku ojca, który potrząsnął lejcami i strzelił z długiego bata, popędzając konie. Dolina przed nimi otworzyła się nagle na rozległą, okoloną wzgórzami równinę kryjącą ruiny miasta Gallala. Na widok słynnego pola bitwy Nefer

zadrzał z podniecenia. To tutaj jako młody człowiek walczył Taita, kiedy półboski Tanus, księżę Harrab, unicestwił mroczne siły zagrażające istnieniu Egiptu. Działo się to ponad sześćdziesiąt lat temu, ale Taita opowiedział mu o bitwie z najdrobniejszymi szczegółami. Jego opowieść była tak sugestywna, że Nefer miał wrażenie, iż sam znajdował się w tym miejscu owego rozstrzygającego dnia.

Ojciec Nefera, boski faraon Tamose, skierował pojazd ku zrujnowanej kamiennej bramie i ściągnął lejce. Setka jadących za nimi wozów zgrabnie powtórzyła ten manewr. Woźnice jęli zeskakiwać z platform i niebawem przystąpili do pojenia zwierząt. Kiedy faraon otworzył usta, aby przemówić, kurz osypał mu się z policzków na pierś.

— Mój Panie! — pozdrowił Wielkiego Lwa Egiptu, księcia Naję, głównodowodzącego armii i ukochanego towarzysza. — Musimy znów wyruszyć, nim słońce dotknie szczytów wzgórz. Chcę nocą przeprowić się przez wydmy do El Gabar.

Na niebieskiej wojennej koronie na głowie Tamose połyskiwały drobiny miki. Spojrzał na Nefera oczami zaczerwienionymi w kącikach od zwilżonego łzami pyłu.

— Tutaj się rozstaniemy. Dalej pojedziesz z Taitą.

Nefer otworzył usta, by zaprotestować, choć wiedział, że to daremne. Oddział zmierzał na spotkanie wroga. Plan faraona Tamose przewidywał okrężny marsz na południe, przez Wielkie Wydmy, przemknięcie między gorzkimi, sodowymi jeziorami i zajęcie wroga od tyłu. Utworzenie wyrwy w centrum jego szyków miało umożliwić atak głównym siłom egipskim skoncentrowanym nad Nilem powyżej Abnub. Następnie Tamose zamierzał połączyć obydwie armie i nim przeciwnik będzie zdolny do marszu, minąć Tell el-Daba i zająć jego twierdzę Awaris.

Był to śmiały i błyskotliwy plan, który w razie powodzenia jednym uderzeniem zakończyłby szalejącą od dwóch pokoleń wojnę z Hyksosami. Nefera uczono, że chwała wojenna stanowi rację jego ziemskiego bytowania. Mimo iż osiągnął już wiek czterestu lat, jak dotąd ten zaszczyt go omijał. Z całej duszy pragnął wyruszyć u boku ojca na spotkanie zwycięstwa i nieśmiertelności.

Uprzedzając słowa protestu rodzące się na ustach syna, faraon zapytał:

— Co jest pierwszą powinnością żołnierza?

— Posłuszeństwo, Najjaśniejszy Panie — niechętnie odparł Nefer.

— Nigdy o tym nie zapominaj. — Faraon skinął głową i odszedł.

Nefer czuł się wzgardzony i odrzucony. Oczy go piekły, górna warga zadrżała, opanował się jednak, poczuwszy na sobie wzrok Taity. Zamrugał, aby usunąć z oczu łzy, i pociągnął łyk wody z bukłaka zawieszzonego u burty rydwanu. Następnie zamaszystym ruchem, który wzburzył jego bujne, okryte kurzem kędziory, zwrócił się ku staremu Magowi.

— Pokaż mi pomnik, Tata — zażądał.

Niedobrana para przeciskała się przez gmatwaninę rydwanów, ludzi i koni tłoczących się na wąskiej ulicy zburzonego miasta. Rozebrawszy się do naga z powodu gorąca, dwudziestu żołnierzy zeszło w głąb wiekowych studni i podając sobie z rąk do rąk wiadra, wydobywało na powierzchnię gorzką wodę. Nie było jej wiele, a przecież kiedyś te studnie zaopatrywały bogate i ludne miasto, usadowione na handlowym szlaku wiodącym od brzegów Nilu do Morza Czerwonego. Potem, przed wiekami, trzęsienie ziemi naruszyło warstwę wodonośną i zablokowało podziemny przepływ. Gallala umarła z pragnienia. Teraz, nim studnie pokazały dno, z trudem udało się napoić dwie setki koni i napełnić bukłaki.

Taita prowadził Nefera wąskimi alejkami zrujnowanego miasta. Mijali świątynie i pałace, teraz zamieszkane tylko przez jaszczurki i skorpiony, aż dotarli do centralnego placu. Pośrodku wznosił się pomnik na cześć księcia Tanusa i jego zwycięstwa nad armiami zbójców, którzy omal nie doprowadzili do zagłady najbogatszego i najpotężniejszego narodu na świecie. Pomnik tworzyła niezwykła piramida połączonych gliną ludzkich czaszek, podparta kapliczką z czerwonych bloków skalnych. Tysiąc albo i więcej czaszek szczyrzyło zęby na chłopca, kiedy czytał na głos inskrypcję umieszczoną na kamiennym portyku: „Nasze odrąbane głowy są świadectwem stoczonej tu bitwy, w której zginęliśmy od miecza Tanusa, księcia Harrab. Niech z czynów tego możnego pana przyszłe pokolenia czerpią naukę o chwale bogów i potędze sprawiedliwych. Nakazano cztertnastego roku panowania faraona-boga Mamose”.

Przykucnąwszy w cieniu pomnika, Taita obserwował księcia, który obchodził piramidę czaszek, przystając co kilka kroków, aby z dłońmi na biodrach przyjrzeć się jej pod innym kątem. Mimo nieobecnego wyrazu twarzy w oczach starca kryła się czułość.

Jego miłość do tego chłopaka miała swe źródło w miłości do dwojga innych ludzi. Pierwszą z tych osób była Lostris, królowa Egiptu. Taita był eunuchem, ale został wykastrowany po osiągnięciu dojrzałości płciowej i zdarzyło mu się pokochać kobietę. Z powodu fizycznej ułomności miłość Taity była miłością czystą, a darzył nią właśnie królową Lostris, babkę Nefera. Ta miłość, jakże bezgraniczna, nawet teraz, dwadzieścia lat po śmierci królowej, stanowiła istotę jego egzystencji.

Drugim człowiekiem, z miłości do którego zrodziła się miłość Taity do Nefera, był Tanus, książę Harrab. To ku jego chwale wzniesiono ten pomnik. Był Taicie droższy niż rodzony brat. Teraz oboje odeszli, Lostris i Tanus, ale ich krew mieszała się w żyłach chłopca. Owocem ich nielegalnego związku było urodzone przed laty dziecko, z którego wyrósł faraon Tamose, obecnie dowodzący oddziałem rydwanów, z którym tu przybyli. Ojciec Nefera.

— Tata, pokaż mi, gdzie pojmałeś wodza zbójców. — Z powodu mutacji i podniecenia Nefer mówił łamiącym się głosem. — Czy to było tutaj? — Podbiegł do zwalonego muru na południowym krańcu placu. — Opowiedz mi jeszcze raz.

— Nie, tu. Z tej strony. — Taita podniósł się i na swoich długich, bocianich nogach podszedł do wschodniego muru. Spojrzał w górę na wyszczerbioną krawędź. — Ten łotr nazywał się Szufti, był jednooki i brzydki jak Set. Próbował umknąć z pola bitwy, wspinając się w tym miejscu na mur. — Taita schylił się, podniósł z rumowiska połówkę cegły z suszonego mułu i niespodziewanie cisnął nią tak, że poszybowała ponad krawędzią muru. — Jednym rzutem rozbiłem mu czaszkę i zrzuciłem na ziemię.

Nefer był zdumiony tym rzutem, chociaż z doświadczenia znał siłę starego i jego legendarną wytrzymałość. Jest stary jak góry, starszy od mojej babki, bo niańczył ją, tak jak później mnie, myślał z podziwem. Ludzie powiadają, że był świadkiem dwustu wylewów Nilu i że własnymi rękami budował piramidy. Na głos zaś spytał:

— Tata, czy odrąbałeś mu głowę i złożyłeś na tym tam stosie? — Wskazał na makabryczny pomnik.

— Dobrze znasz tę historię, opowiadałem ci ją sto razy. — Taita udał, że powodowany skromnością nie pali się do wysławiania własnych czynów.

— Opowiedz mi jeszcze raz! — rozkazał Nefer.

Taita przysiadł na kamiennym bloku, a Nefer w błogim

oczekiwaniu na opowieść usadowił się u jego stóp. Słuchał chciwie aż do chwili, gdy w powietrze buchnął ryk baranich rogów, wzywający żołnierzy do powrotu, i cichnącym echem poniósł się między czarne stoki wzgórz.

— Faraon nas wzywa — powiedział Taita. Wstał i ruszył w stronę bramy.

Za murami panowała pospieszna krzątania — oddział gotował się do przeprawy przez wydmy. Bukłaki były znów pełne, żołnierze sprawdzali uprząż, podciągali rzemienie i zajmowali miejsca na platformach.

Faraon spojrzął nad głowami swoich dowódców na wylaniającą się z bramy dwójkę i ruchem dłoni przywołał Taitę. Razem odeszli poza zasięg słuchu oficerów oddziału. Książę Naja najwyraźniej zamierzał się do nich przyłączyć. Taita szepnął coś do faraona, a ten odwrócił się i jednym krótkim słowem odprawił Naję. Zraniony w swej dumie i upokorzony książę poczerwieniał i rzucił Taicie wściekłe spojrzenie, ostre jak grot strzały.

— Obraziłeś Naję. Któregoś dnia może mnie nie być w pobliżu, by cię ochronić — ostrzegawczym tonem rzucił faraon.

— Nikomu nie możemy ufać — odrzekł Taita. — Nie, dopóki nie zmiądzymy łąba wężowi zdrady, który zaciska zwoje wokół kolumn twego pałacu. Do twojego powrotu z wyprawy na północ tylko my dwaj możemy wiedzieć, dokąd zabieram księcia.

— Przecież Naja to Naja! — Faraon zaśmiał się lekceważąco. Traktował Naję jak brata. Razem przebyli Czerwoną Drogę.

— Nawet Nai. — To było wszystko, co Taita mógł w tej chwili powiedzieć. Jego podejrzenia zmieniły się ostatecznie w pewność, ale nie zebrał jeszcze dość dowodów, by przekonać faraona.

— Czy książę wie, dlaczego zaszywacie się na pustyni? — spytał faraon.

— Wie tylko, że otrzyma wyższy stopień wtajemniczenia, że spróbujemy schwytać jego totemicznego ptaka.

— Dobrze, Taito. — Faraon skinął głową. — Zawsze byłeś skryty, ale szczerzy. Nie ma już nic do powiedzenia, jako że wszystko zostało powiedziane. Teraz jedźcie i niech Horus osłoni swymi skrzydłami ciebie i Nefera.

— Miej oczy z tyłu głowy, Wasza Królewska Mość, bo teraz wrogowie znajdują się zarówno przed tobą, jak i za tobą.

Faraon ujął przedramię Maga i ścisnął je mocno. Ręka pod jego palcami była chuda, ale twarda niczym sucha gałąź akacji. Potem

zbliżył się do Nefera czekającego nań przy królewskim rydwanie z miną szczeniaka, któremu rozkazano wracać do budy.

— Boski Majestacie, w oddziale są młodszy ode mnie. — Książę podjął ostatnią desperacką próbę przekonania ojca, że powinien jechać z oddziałem. Faraon wiedział, że chłopiec ma rację. Meren, wnuk sławnego generała Kratasa, był odeń młodszy o trzy dni i jechał z ojcem jako włóczęga na jednym z rydwanów straży tylnej. — Kiedy pozwolisz mi walczyć u twego boku, ojczu?

— Może kiedy pokonasz Czerwoną Drogę. Wtedy nawet ja ci się nie sprzeciwię.

Była to pusta obietnica i obaj o tym wiedzieli. Czerwona Droga to sprawdzian kunsztu jeździeckiego i umiejętności władania bronią tak trudny, że niewielu mu sprostało. Podczas tej próby padali z wyczerpania, a nawet ginęli, silni mężczyźni w kwiecie wieku, niemal perfekcyjnie wyszkoleni. Neferowi dużo do tego brakowało.

Lecz oto surowe oblicze faraona złagodniało. Ucisnął ramię syna, bo tylko na taką manifestację swych uczuć mógł sobie pozwolić na oczach żołnierzy.

— Jest moim życzeniem, byś udał się z Taitą na pustynię, aby schwycić swego boga ptaka. W ten sposób dowiedziesz swej przynależności do królewskiego rodu i prawa do podwójnej korony.

Nefer i stary Mag stali pośród ruin Gallali, obserwując mijającą ich kolumnę rydwanów. Na prowadzącym wozie jechał faraon. Owinąwszy lejce wokół nadgarstków, odchyłał się nieco do tyłu, powściągając konie. Lniane spódniczki trzepotały wokół jego muskularnych nóg, a niebieska wojenna korona na głowie przydawała mu wzrostu, zaiste upodobniając go do boga.

Za nim jechał Naja, niemal równie wysoki, niemal równie urodziwy. Minę miał wyniosłą i dumną, przez ramię przewiesił wielki łuk refleksyjny. Naja był jednym z najświetniejszych wojowników w Egipcie, o czym świadczyło jego imię nadane mu w dowód uznania: *naja* to święta kobra, ureus z królewskiej korony. Faraon Tamose nadał mu je w dniu, gdy razem zwycięsko przeszli próbę Czerwonej Drogi.

Naja nie raczył nawet spojrzeć w kierunku Nefera. Rydwan faraona zniknął już w ciemnej paszczy wąwozu, kiedy ostatni pojazd mijał miejsce, gdzie stał Nefer. Meren, jego przyjaciel i

towarzysz wielu dziecięcych psikusów, roześmiał mu się w twarz, uczynił nieprzyzwoity gest i przekrzykując pisk i turkot kół, zawołał drwiąco:

— Przywiozę ci do zabawy głowę Apepiego.

Nefer popatrzył za nim z nienawistną zazdrością. Apepi był królem Hyksosów; a Nefer nie potrzebował zabawek, był już mężczyzną, nawet jeśli ojciec nie chciał tego przyznać.

Milczeli jeszcze długo po tym, jak zniknął wóz Merena i opadł kurz. Taita bez słowa skierował się ku ich spętanym koniom. Podciągnął popręg swojego wierzchowca i podwinąwszy spódniczkę, wskoczył nań ze zręcznością młodzieńca. Znalazłszy się na gołym grzbiecie rumaka, stanowił z nim jedną całość. Nefer pamiętał krążące tu i ówdzie opowieści, jakoby Taita jako pierwszy Egipcjanin opanował sztukę jazdy konnej. Wciąż nosił tytuł Mistrza Dziesięciu Tysięcy Rydwanów nadany mu wraz ze Złotem Chwały kolejno przez dwóch faraonów.

Niewątpliwie należał do tych nielicznych Egipcjan, którzy odważyli się dosiadać wierzchowca okrakiem. Większość brzydziła się tym stylem jazdy, uważając go za nieprzyzwoity i odbierający godność, a ponadto ryzykowny. Nefer nie miał tego rodzaju skrupułów i kiedy wskoczył na grzbiet ulubionego żrebca Marzyciela, jego ponury nastrój zaczął się poprawiać. Zanim dotarli do szczytów wzgórz górujących nad zrujnowanym miastem, był już niemal jak zawsze pogodny i bez troski. Rzucił ostatnie tęskne spojrzenie na północ, gdzie na horyzoncie unosił się pióropusz kurzu wznieconego przez rydwany oddziału, a potem zdecydowanym ruchem odwrócił się doń plecami.

— Dokąd jedziemy, Tata? — zapytał. — Obiecałeś powiedzieć, jak tylko wyruszymy.

Taita zawsze był mało mówny i skryty, a już szczególnie gdy chodziło o cel ich podróży.

— Jedziemy do Gebel Nagara — odrzekł.

Nefer nigdy przedtem nie słyszał tej nazwy, ale powtórzył ją półgłosem. Brzmiała kusząco i romantycznie. Po karku przebiegł mu dreszcz niecierpliwego podniecenia. Ogarnął wzrokiem rozciągającą się przed nimi wielką pustynię. Ocean kamienistych, jałowych wzgórz ciągnął się po horyzont, z powodu upału i odległości przesłonięty błękitną mgiełką. Nagie skały zaskakiwały kolorami: były sine niczym chmury burzowe, żółte jak pióra tkacza, czerwone jak świeża rana i połyskliwe jak kryształ. W

poruszonym upałem powietrzu drżały i falowały.

Taita witał to przerażające miejsce spojrzeniem pełnym nostalgii. W pewnym sensie wrócił do domu, bo to na tym pustkowiu, niemal pełzną jak zranione zwierzę, schronił się po śmierci królowej Lostris. Z upływem lat ból słabł, a on oddawał się zgłębianiu tajemnic istoty wielkiego boga Horusa. Odchodził na pustynię jako lekarz i chirurg, mistrz ziemskich nauk. W samotni tej dziczy odkrył klucz do drzwi umysłu i ducha, przez które przeszli tylko nieliczni. Wyjeżdżał jako człowiek, wrócił zaś jako bliski wielkiego boga Horusa, przepelniony wiedzą tajemną o czymś niewyobrażalnym dla zwykłych ludzi.

Wrócił do świata dopiero po tym, jak w pustelniczej jaskini w Gebel Nagara odwiedziła go we śnie królowa Lostris. Znow była piętnastoletnią dziewczyną, świeżą, emanującą kobiecością niczym pierwszy raz zakwitła pustynna róża o okrytych rosą płatkach. Spał, ale jego serce wezbrało miłością, która niemal rozsadała mu pierś.

— Kochany Taito — szepnęła Lostris, dotykając jego policzka i budząc ze snu — jesteś jednym z dwu mężczyzn, których kiedykolwiek kochałam. Tanus jest teraz ze mną, ale nim i ty do mnie dołączysz, mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Wiem, że i teraz mnie nie zawiedziesz. Prawda, Taito?

— Jestem na twoje rozkazy, pani. — Własny głos dziwnie zabrzmiał mu w uszach.

— Tej nocy w Tebach, moim mieście stu bram, narodzi się dziecko. To syn mojego syna. Otrzyma imię Nefer, co znaczy czysty i doskonały ciałem i duchem. Jest moim pragnieniem, by ten chłopiec z krwi mojej i krwi Tanusa zasiadł na tronie Górnego Egiptu. Ale wokół niego gromadzą się różnorakie wielkie niebezpieczeństwa. Nie poradzi sobie bez twojej pomocy. Tylko ty potrafisz go ochronić i wskazać mu drogę. Temu właśnie mają służyć umiejętności i wiedza nabyte przez lata samotności na pustyni. Udaj się do Nefera, nie zwlekaj, zostań z nim, aż twoja misja się wypełni. Wtedy, kochany Taito, przyjdź do mnie. Będę na ciebie czekała, a twoja biedna, okaleczona męskość zostanie ci przywrócona. Gdy znow się spotkamy, gdy złączą się nasze dłonie, będziesz cały jak w chwili narodzin. Nie zawiedz mnie, Taito.

— Nigdy! — zawołał przez sen. — Nie zawiodłem cię za

życia, nie zawiodę po śmierci.

— Wiem. — Lostris uśmiechnęła się słodko i tęsknie, a jej obraz rozplynął się w mroku pustynnej nocy.

Taita obudził się z twarzą mokrą od łez i jął pakować swój skromny dobytek. Przystanął w wejściu do jaskini, ale tylko po to, by na podstawie układu gwiazd ustalić kierunek marszu. Odruchowo poszukał wzrokiem szczególnie jasnej gwiazdy bogini. Siedemdziesiątego dnia po śmierci królowej, tej nocy, kiedy dobiegł końca rytuał balsamowania, owa gwiazda niespodziewanie ukazała się na nieboskłonie — wielka czerwona gwiazda w miejscu, gdzie dotąd nic nie było. Taita odnalazł ją i nisko jej się pokłonił. A potem ruszył przez pustynię ku zachodowi, w stronę Nilu i Teb, pięknych Teb, miasta o stu bramach.

Wszystko to działo się ponad czternaście lat temu i teraz tęsknił za ciszą swojej pustelni, bo tylko tu mógł odzyskać całą moc niezbędną do wypełnienia zleconej mu przez Lostris misji. I tylko tu część owej mocy mógł przekazać księciu. Wiedział bowiem, że już gromadzą się wokół niego ciemne siły, przed którymi ostrzegą go królowa.

— Chodź! — rzekł do chłopca. — Zejdźmy stąd i schwytajmy twojego ptaka.

Trzeciej nocy po opuszczeniu Gallali, kiedy gwiazdozbiór Dzikich Osłów znajdował się w zenicie, faraon zarządził postój oddziału. Napojono konie, żołnierze posilili się spiesznie suszonym na słońcu mięsem, daktylami i zimnymi plackami z durry. Padł rozkaz wymarszu. Baranie rogi tym razem milczały, jako że znaleźli się na terytorium patrolowanym przez hyksoskie rydwany.

Kolumna kłusem ruszyła w dalszą drogę. Krajobraz wokół nich całkowicie się odmienił. W końcu zostawili za sobą jałowe ziemie, wracając do podnóża wzgórz ponad doliną rzeki. Poniżej widzieli pas bujnej roślinności, odległy i ciemny w świetle księżyca, sygnalizujący kierunek biegu wielkiej Matki Nilu. Okrążyli z daleka Abnub i znaleźli się na tyłach głównych sił hyksoskich stacjonujących nad rzeką. Choć w porównaniu z siłami Apepiego było ich niewiele, to oddział składał się z najlepszych żołnierzy w armii Tamose, czyli najlepszych na świecie. Co więcej, sprzyjał im element zaskoczenia.

Kiedy faraon po raz pierwszy zaproponował tę strategię i

oświadczył, że osobiście poprowadzi wyprawę, rada wojenna sprzeciwiła się z całą gwałtownością dopuszczalną w sporze z bogiem. Nawet stary Kratas, ongiś najzuchwalszy wojownik w całej armii Egiptu, targając swą bujną siwą brodę, ryknął:

— Na zaropiały napletek Seta, nie po to zmieniałem ci zafajdane pieluchy, żebyś teraz rzucił się prosto w kochające ramiona Apepiego. — Był chyba jedynym człowiekiem, który mógł się poważnie wypowiedzieć takie słowa do króla-boga. — Poślij kogoś innego, żeby odwalił czarną robotę. Poprowadź oddział szturmowy, jeśli cię to bawi, ale nie idź na pustynię, wydając się na łup ghulom i dżinom. To ty jesteś Egiptem. Jeśli Apepi cię dopadnie, będzie po nas wszystkich.

Z całej rady poparł go jedynie Naja, ale on zawsze był wobec niego lojalny i szczery. I oto pokonali pustynię i znaleźli się na tyłach wroga. Jutro o świcie rzuci oddział do desperackiej szarży, która powinna rozdzielić armię Apepiego, otwierając drogę pięciu innym oddziałom faraona w sile tysiąca rydwanów. Już teraz czuł słodki smak zwycięstwa. Przed następną pełnią będzie ucztował w komnatach Apepiego w Awaris.

Od niemal dwu stuleci królestwa Dolnego i Górnego Egiptu były rozdzielone. W tym czasie północnym królestwem władali albo uzurpatorzy, albo najeźdźcy. Przeznaczeniem Tamose było wygnać Hyksosów i na powrót zjednoczyć Egipt. Tylko wtedy zgodnie z prawem i za aprobatą wszystkich starożytnych bogów będzie mógł nosić podwójną koronę.

Nocne powietrze owiewało mu twarz, policzki drętwiały z chłodu. Jego włócznik kulił się przy burcie rydwanu, szukając ochrony przed wiatrem. Słyszał tylko zgrzyt kół na żwirze, stukot włóczni w pokrowcach i od czasu do czasu biegnący wzdłuż kolumny przyciszony, ostrzegawczy okrzyk: „Uwaga, dziura!”.

Przed nimi otworzyło się nagle szerokie wadi Gebel Wadun i faraon Tamose zatrzymał zaprzęg. Wadi tworzyło gładką drogę w dół, ku płaskiej równinie aluwialnej nad rzeką. Faraon rzucił lejce włócznikowi i zeskoczył na ziemię. Rozprostował zeszywniałe, bolące członki i nie odwracając się, nasłuchiwał odgłosów zbliżającego się pojazdu Nai. Rozległ się rzucony przyciszonym głosem rozkaz i skrzywienie kół ustało. Naja podszedł pewnym krokiem i stanął u boku faraona.

— Od tego miejsca ryzyko odkrycia naszej obecności będzie większe — powiedział. — Spójrz w dół. — Wskazał długą,

muskularną ręką nad ramieniem faraona. Tam gdzie wadi łączyło się z równiną, widać było łagodne, żółte światelko lampy oliwnej. — To wioska El Wadun. Tam mają czekać nasi szpiedzy, żeby przeprowadzić nas przez hyksoskie pikiety. Pojadę przodem, spotkam się z nimi i upewnię się, czy droga jest bezpieczna. Zostań tutaj, panie, zaraz wrócę.

— Pojadę z tobą.

— Błagam. Może dojść do zdrady, Mem. — Naja użył dziecięcego imienia króla. — Egipt to ty. Jesteś zbyt cenny, aby ryzykować.

Faraon odwrócił się, by spojrzeć w twarz umiłowanego druha, szczupłą i urodziwą. Zęby Nai zabłyśły w świetle gwiazd, kiedy się uśmiechnął. Faraon dotknął jego ramienia — lekko, ale gestem wyrażającym czułość i zaufanie.

— Jedź szybko i równie szybko wracaj — rzekł.

Naja przyłożył dłoń do serca i pobiegł ku rydwanowi. Przejeżdżając obok króla, jeszcze raz oddał mu honory, a Tamose odsalutował z uśmiechem i przez chwilę odprowadzał wzrokiem zjeżdżający po zboczu rydwan. Dotarłszy do płaskiego, wyszcielonego zbitym piachem dna wyschniętej rzeki, Naja zaciął batem konie i popędził w kierunku wioski El Wadun. Na srebrzystym piasku rysowały się ciemne ślady kół rydwanu, potem pojazd zniknął za pierwszym zakolem suchego koryta.

Faraon ruszył wzdłuż oczekującej kolumny. Rozmawiał cicho z żołnierzami, do wielu zwracając się po imieniu, żartował z nimi, dodając otuchy i budząc bojowego ducha. Trudno się dziwić, że kochali go i poszliby za nim, gdziekolwiek by ich poprowadził.

Książę Naja jechał ostrożnie, trzymając się południowego brzegu wyschniętej rzeki. Co pewien czas spoglądał w górę, ku grzbietom wzgórz, aż wreszcie dostrzegł zerodowaną skutkiem działania wiatru kamienną wieżę rysującą się nieco ukośnie na tle nieba i chrząknął zadowolony. Po chwili dotarł do odchodzącej od wadi ledwo widocznej krętej ścieżki wiodącej do podnóża starożytnej wieży strażniczej.

Rzucił kilka słów swemu włócznikowi i zeskokczył z wozu. Poprawił przewieszony przez ramię krótki kawaleryjski łuk, odczepił od burty pojazdu gliniane naczynie z węglami i ruszył ścieżką pod górę. Była tak dobrze ukryta, że gdyby nie pamiętał

wszystkich jej zakrętów, przed osiągnięciem celu z tuzin razy zgiąłby drogę.

Na koniec wszedł na górny parapet muru wieży. Zbudowana przed wiekami znajdowała się w opłakanym stanie. Naja nie zbliżała się do krawędzi muru, bo groziło to upadkiem w otchłań doliny. Z wgłębienia w murze wydostał pozostawioną tam wcześniej wiązkę chrustu. Szybko ułożył patyki w małą piramidkę i rozdmuchał żar w naczyniu, a kiedy węgle zaczęły się mocniej żarzyć, rzucił na nie garść suchej trawy. Buchnął płomień, od którego zapalił swój mały stos sygnałowy. Nie próbował się ukrywać, lecz stał w świetle płomieni, dobrze widoczny dla kogoś patrzącego z dołu. Chrust się wypalił, ogień przygasł. Naja siedział w ciemności i czekał.

Chwilę później usłyszał grzechot kamyka na skalnej ścieżce w dole i gwizdnął przenikliwie. Wstał, słysząc w odpowiedzi podobny sygnał. Poluzował zakrzywiony, brązowy miecz w pochwie i założył strzałę na cięciwę, gotów w jednej chwili napiąć luk. Niebawem z ciemności dobiegł go chrapliwy okrzyk; ktoś wołał go po hyksosku. Odpowiedział płynnie i, rzecz jasna, w tym samym języku. Na kamiennym podeście rozbrzmiewały kroki co najmniej dwóch mężczyzn.

Nawet faraon nie wiedział, że matka Nai była Hyksoską. Podczas trwającej całe dziesięciolecie okupacji najeźdźcy przejęli wiele egipskich zwyczajów. Wobec niedostatku własnych kobiet Hyksosi brali sobie egipskie żony i tak z pokolenia na pokolenie krew obu narodów mieszała się coraz bardziej.

Na parapet wkroczył wysoki mężczyzna w brązowym hełmie, z kolorowanymi wstążkami wplecionymi w bujną brodę. Hyksosi uwielbiali jaskrawe barwy.

Szeroko rozłożył ramiona i zamykając Naję w objęciach, mruknął:

— Niech Sutech cię błogosławi, kuzynie.

— Niech i do ciebie się uśmiechnie, kuzynie Troku, ale czasu mamy niewiele. — Naja wskazał na blade palce przedświt miłośnie muskające niebo na wschodzie.

— Masz rację, kuzynie. — Hyksoski generał wypuścił Naję z uścisku, odwrócił się i od stojącego tuż za nim adiutanta odebrał płócienne zawiniątko, które wręczył Nai. Ten rozwinął je, jednocześnie kopnięciem przywracając do życia ognisko. W świetle płomieni uważnie oglądał zawartość zawiniątka — kołczan

pełen strzał. Wykonany z lekkiego drewna obszytego kunsztownie tłoczoną skórą. Prawdziwe arcydzieło rzemiosła, ani chybi część ekwipunku wyższego oficera. Naja odkręcił pokrywę i wyjął jedną ze strzał. Obejrzał ją pobieżnie, obrócił między palcami, badając wyważenie i symetrię.

Hyksosi używali bardzo charakterystycznych strzał. Pióra lotek były jaskrawo ufarbowane w barwy regimentu łuczника, na brzechwie nosiły jego osobisty znak. Nawet jeśli zranienie taką strzałą nie było śmiertelne, krzemienny, ząbkowany grot przymocowany był tak, że przy próbie wydobycia pocisku odpadał od brzechwy, pozostając głęboko w kanale rany, powodując zgorzel i ostatecznie długą, bolesną śmierć. Krzemień był znacznie twardszy od brązu, nie giął się i nie rozpląszczał przy uderzeniu w kość.

Naja wsunął strzałę z powrotem do kołczanu, nałożył pokrywę. Nie zamierzał zabierać tak charakterystycznych strzał do swojego rydwanu. Gdyby znalazł je stajenny albo włócznik, zapamiętałby ten trudny do wytłumaczenia fakt.

— Mamy jeszcze wiele do omówienia. — Naja przykucnął i dał znak Trokowi, by poszedł w jego ślady. Rozmawiali po cichu, wreszcie Naja wstał. — Wystarczy. Teraz obaj wiemy, co czynić. W końcu nadszedł czas działania.

— Oby bogowie łaskawym wzrokiem spojrzeli na nasze przedsięwzięcie. — Trok i Naja ponownie się uściskali i Naja odszedł bez słowa. Zbiegł z wieży i wąską ścieżką jął schodzić ze wzgórza.

Przed dotarciem do dna doliny znalazł kryjówkę dla kołczanu. Była to szczelina powstała w miejscu, gdzie korzenie kołczastego drzewa rozsadziły skałę. Nad kołczanem umieścił kamień z grubsza przypominający kształtem końską głowę. Poskręcane górne gałęzie drzewa tworzyły na tle nocnego nieba charakterystyczny krzyż. Bez trudu odnajdzie kiedyś to miejsce.

Ruszył dalej ścieżką, zmierzając do wadi, gdzie stał jego rydwan.

Faraon Tamose dostrzegł powracający rydwan i po gwałtowności, z jaką powoził Naja, poznał, że zbliżają się kłopoty. Półgłosem rzucił rozkaz zajmowania miejsc w rydwanach i dobytcia broni, by być gotowym na każdą ewentualność.

Rydwan Nai z turkotem wspinał się po zboczach. W chwili gdy

zrównał się z faraonem, księżę zeskoczył z platformy.

— Co się dzieje? — zapytał Tamose.

— Błogosławieństwo bogów — odparł Naja drżącym z podniecenia głosem. — Oddali bezbronnego Apepiego w nasze ręce.

— Jak to możliwe?

— Moi szpiedzy zaprowadzili mnie do miejsca, gdzie obozuje król wrogów, całkiem niedaleko stąd. Jego namioty stoją tuż za pierwszą linią wzgórz, tam. — Wskazał kierunek obnażonym mieczem.

— Jesteś pewien, że to Apepi? — Tamose także z trudem powściągnął podniecenie.

— Widziałem go doskonale w świetle obozowych ognisk. Każdy szczegół jego wyglądu: wielki zakrzywiony nos, przetykana srebrem broda lśniąca w świetle ogniska. Nie da się pomylić go z kimś innym. Góruje wzrostem nad wszystkimi ze swego otoczenia, a na głowie nosi sepią koronę.

— Jakimi dysponuje siłami?

— Zadufany w sobie jak zawsze zabrał tylko niespełna pięćdziesięciu ludzi ze straży przybocznej. Policzyłem ich; połowa spała, wólcześnie ustawiwszy w kozły. Apepi niczego nie podejrzewa, strażnicy palą ogniska. Wypadamy galopem z ciemności i już mamy go w garści.

Naja poprowadził ich do dół wadi. Miękki, srebrzysty piasek tłumiał turkot kół, tak że ostatni zakręt oddział pokonał w upiornej ciszy. Naja podniósł zaciśniętą dłoń, nakazując się zatrzymać. Faraon podjechał do jego rydwanu i przez burtę pojazdu nachylił się ku księciu.

— Gdzie jest obóz Apepiego?

— Za tym wzgórzem. Moi szpiedzy go obserwują. — Naja wskazał ścieżkę wiodącą do wieży strażniczej na grzbiecie wzniesienia. — Z tamtej strony jest ukryta oaza. Ujęcie słodkiej wody i palmy daktylowe. Namioty są rozbite między drzewami.

— Przeprowadzimy mały zwiad. Tylko kilku ludzi. Dopiero wtedy będziemy mogli zaplanować atak.

Naja przewidział ten rozkaz, więc rzuciwszy ledwie kilka poleceń, skompletował pięcioosobowy oddział zwiadowczy. Tworzyli go żołnierze związani z nim przysięgą krwi. To byli jego ludzie, ciałem i duszą.

— Pochwy mieczy owińcie płótnem. Żadnego hałasu —

rozkazał Naja i po chwili z łukiem refleksyjnym w lewej dłoni wkroczył na ścieżkę.

Faraon postępował tuż za nim. Wspinali się szybko, wreszcie Naja dostrzegł na tle rozjaśnionego przedświttem nieba skrzyżowane gałęzie kolczastego drzewa. Zatrzymał się gwałtownie, wyrzucił do góry prawą rękę, nakazując ciszę. Nasłuchiwał.

— Co tam? — szepnął mu do ucha faraon.

— Zdaje mi się, że słyszałem jakieś głosy na szczycie — odparł Naja. — I hyksoską mowę. Zaczekaj tu, panie, oczyszczę drogę przed nami.

Faraon i pięciu zwiadowców przykucnęli obok ścieżki, a Naja, skradając się, ruszył dalej. Po chwili jego niewyraźna w półmroku sylwetka zniknęła za wielkim głazem. Powoli mijały minuty i faraon zaczął się niecierpliwić. Szybkimi krokami zbliżał się świt. Król Hyksosów niebawem zwinie obóz i odjedzie, wymykając się z pułapki. Wtem z góry dobiegł cichy gwizd i faraon zerwał się na nogi. Gwizdzący udatnie naśladował poranny śpiew słowika.

Faraon wy dobył z pochwy legendarny błękitny miecz.

— Droga wolna — mruknął. — Za mną.

Ruszyli pod górę i po chwili faraon dotarł do wysokiego złomu skalnego blokującego ścieżkę. Obszedł go i stanął jak wryty. Dwadzieścia kroków przed nim stał książę Naja. Byli sami, skała skrywała ich przed wzrokiem idących z tyłu zwiadowców. Naja dzierżył w rękach napięty łuk, grot strzały wskazywał nagą pierś faraona. Jeszcze zanim odzyskał zdolność poruszania się, faraon z przeraźliwą jasnością zrozumiał, z czym ma do czynienia. Było to coś plugawego i odrażającego, co Taita dzięki swej mocy jasnowiedzenia wyczuł w powietrzu.

Zrobiło się na tyle jasno, że faraon widział każdy szczegół sylwetki wroga, którego kochał jako przyjaciela. Cięciwa łuku przyciśnięta do ust Nai wykrzywiła je, układając w straszliwy uśmiech. Patrzył na faraona dzikimi miodowozłotymi oczami polującego lamparta. Lotki strzały były purpurowo-żółto-zielone, grot zaś hyksoskim zwyczajem wykonany z ostrego jak brzytwa krzemienia, żeby przebijał brązowe hełmy i zbroje.

— Obyś żył wiecznie! — bezgłośnie, samym ruchem warg powiedział Naja, tak jakby te słowa były przekleństwem. Potem zwolnił cięciwę. Brzęknęła i strzała z szumem pomknęła do celu. Zdawało się, że nadlatuje całkiem wolno, jak jakiś jadowity owad. Lotki wprawiły ją w ruch obrotowy, toteż zanim przebyła dystans

dwudziestu kroków, wykonała pełny obrót.

Śmiertelne niebezpieczeństwo wyostrzyło zmysły faraona, ale poruszał się zbyt wolno, by uniknąć pocisku. Strzała ugodziła go w środek piersi, tam gdzie między żebrami biło królewskie serce. Impet uderzenia obrócił go i rzucił na głaz za plecami. Na chwilę wczepił zakrzywione palce w szorstką powierzchnię. Krzemienisty grot przeszył go na wylot i zakrwawiony wystawał z napiętych mięśni z prawej strony kręgosłupa.

Błękitny miecz wypadł z dłoni faraona, a z jego ust wyrwał się cichy jęk stłumiony przez strumień jasnej krwi z płuc. Nogi się pod nim ugięły, zaczął się osuwać na kolana, paznokcie zostawiały płytkie rysy na kamieniu.

Naja skoczył do przodu z dzikim okrzykiem:

— Uwaga! Zasadzka! — Objął faraona wpół poniżej wystającej z piersi strzały. Podtrzymując umierającego króla, ponownie zawołał: — Straż, do mnie!

Niemal natychmiast spoza skały wybiegło dwóch rosyłych żołnierzy. Rzut oka wystarczył, żeby się zorientowali, jak został trafiony faraon, i dostrzegli jaskrawe pióra u nasady strzały.

— Hyksosi! — ryknął któryś, gdy przejmowali faraona z rąk Naja, by powlec go za osłonę głazu.

— Zanieście faraona do rydwanu, ja powstrzymam wroga — rozkazał Naja. Odwrócił się w miejscu i wydobywszy kolejną strzałę z kołczanu, posłał ją wzdłuż ścieżki w kierunku pustego grzbietu wzgórza. Ryknął wyzywająco i sam sobie odpowiedział stłumionym wyzwaniem w języku Hyksosów.

Podniósł z ziemi upuszczony przez Tamose błękitny miecz i pognął ścieżką w dół, by po chwili dogonić grupkę zwiadowców znoszących króla ku czekającym na dnie wadi rydwanom.

— To była pułapka — wyjaśniał pospiesznie. — Szczyt wzgórza roi się od wrogów. Musimy zabrać faraona w bezpieczne miejsce. — Widział jednak, że głowa rannego bezwładnie kołysze się z ramienia na ramię i że na jakikolwiek ratunek jest już za późno. Pierś przepełniło mu uczucie triumfu. Niebieska wojenna korona zsunęła się z czoła faraona i potoczyła w dół ścieżki. Naja pochwycił ją w biegu i przez chwilę walczył z pokusą umieszczenia jej na własnej głowie.

Cierpliwości. Jeszcze na to nie pora, strofował się w duchu. Ale Egipt jest już mój, ze wszystkimi koronami, splendorami i całą swą potęgą. Stałem się Egiptem. Stałem się nosicielem cząstki

boskości. Troskliwie ściskając pod pachą ciężką koronę, zawołał:

— Pospieszcie się, nieprzyjaciel jest na ścieżce tuż za nami!

Czekający w dole żołnierze usłyszeli dobiegające z góry dzikie krzyki, toteż pułkowy lekarz czekał już przy rydwanie faraona. Wyszkolony przez Taitę mimo braku jego magicznych mocy był doświadczonym chirurgiem, być może zdolnym opatrzeć ranę nawet tak straszną jak rana w piersi faraona. Książę Naja nie zamierzał jednak ryzykować, że jego ofiara powróci doń z zaświatów. Bez ceregieli odprawił lekarza.

— Wróg jest tuż za nami. Nie ma teraz czasu na twoje znachorskie sztuczki. Musimy go zawieźć w bezpieczne miejsce na tyłach, nim nas dopadną.

Delikatnie dźwignął niesionego dotąd przez żołnierzy króla i złożył na platformie własnego rydwanu. Ułamał sterczącą z piersi faraona część promienia strzały i unióś nad głowę, tak by wszyscy mogli ją zobaczyć.

— To krwawe narzędzie powaliło naszego faraona. Naszego boga i króla. Oby Set przeklął hyksoską świnię, która wystrzeliła tę strzałę. Niech płonie w wiecznym ogniu przez tysiąc lat.

Wzdłuż szyku poniósł się szmer żołnierskich głosów wyrażający aprobatę i gotowość do walki. Naja starannie owinał ułomek strzały w lnianą szmatkę i umieścił w koszu u burty rydwanu. Przedstawił go radzie w Tebach na poparcie swego raportu o okolicznościach śmierci faraona.

— Niech wystąpi ktoś do trzymania faraona — rozkazał. — Tylko ma to robić delikatnie!

Gdy zbliżył się doń królewski włócznie, Naja odpiął królowi pas, błękitny miecz schował do pochwy i wszystko pieczołowicie umieścił we własnym pojemniku na broń.

Włócznie wskoczył na platformę, głowę króla położył sobie na kolanach. Pęcherzyki świeżej, jasnej krwi pojawiły się w kącikach ust faraona, gdy rydwan zawrócił i popędził w górę suchego wadi. Reszta oddziału z trudem nadażwała za prowadzącym. Ciało faraona, choć przytrzymywane silnymi ramionami włócznie, trzęsło się niemiłosiernie.

Patrząc przed siebie, aby nikt nie mógł zobaczyć wyrazu jego twarzy, Naja zaśmiał się cicho. Odgłos śmiechu utonął w chrzęście kół i dudnieniu podwozia o kamienie, których nie starał się omijać. Opuścili wadi i teraz pędzili ku wydmom i gorzkim jeziorom.

Dopiero kiedy oślepiąco białe słońce znalazło się w połowie